

Nie splukany deszczem
nie przewiany wiatrem
brud zatrzymanego w kamieniu nagrzanego powietrza
oblepia kroki
wspinam się ulicą
kanionem ścian,
oczodołów, wystaw,
porzucone manekiny odgrywają zapomniane sceny
światła czarnych wołg
tramwajów zgrzyt
mrowienie się ludzi w egzystencjach łańcuchowych psów
zostawiam tam, w dole
idę z jedyną myślą pchającą mnie
jak Syzyf kamień
w obszar tak odległy
tak mgliście drgający
od zawsze, czy od wczoraj?
Idę by uciec od dyktatury czasu,
psychologii sprzedaży duszy,
karykatury w lustrze
za sprawą dźwięków mrocznych
bliskich jak natrętna myśl
temat, miejsce, czas
galeria postaci zagubionych
pierwszą literę stawiając,
pierwsze zdanie z łykiem kawy
spozrzegam,
brak wiedzy o miejscu
gdzie życie zatocza kręgi
więc ustalę adres,
zbieram głosy szeptane pokątnie
pochlebstwa
drzwi być może otwierające
tak uzbrojony wspinam się pustą ulicą
gdzie parę zbłąkanych psów
wyszczerbionych ludzkich wraków
wspinam się
do miejsca mego przeznaczenia

Wraz z coraz wolniejszymi krokami budynek stawał się większy i większy. Jego położenie wysokie, na jedynym wzniesieniu w mieście potęgowało jeszcze bardziej to wrażenie. Mój początkowy entuzjazm dla tego przedsięwzięcia jakby przygasał, wypalając się niepewnością co do podjętej decyzji. Czy dobrze zrobiłem? Po co? Dlaczego? Zacząłem liczyć marmurowe stopnie przybliżające mnie do drzwi. Dziesiąty, jedenasty, dwunasty. A drzwi głęboko osadzone w portalu zdobionym, jakby za małe, jakby donikąd. Kolumny akantem zwieńczone, a po bokach wejścia kariatydy w liczbie sześć dźwigają z lekkością snu pierwsze piętro z rzędem okien wystawnych, łukiem kończonych, w których słońce odbijało się złociście. Zadarłszy jeszcze głowę dostrzegłem hełm patynowy pokryty miejscami mchem ciemnozielonym osadzony na tę budowlę stojącą w sprzeczności do wszelkich stylów architektonicznych mi znanych.

Co ja tutaj robię?

Jeszcze chwila, nabrałem więcej w płuca rozgrzanego powietrza, nie przynosząc ulgi ani ciału, ani duszy.

Czy to piekła kruchta?

Niedorzeczność. Jakoś tak pomyślałem, by siłę w sobie znaleźć.

Nacisnąłem elektryczny dzwonek. Z cichym klaśnięciem niewidzialnych rąk drzwi uchylily się nieznacznie. Otworzyłem, krok zrobiłem, potem drugi, wszedłem w sień, której ogrom trudno było zmierzyć. Mimo światła słonecznego wpadającego przez okna jakże nieodgadnione przestrzenie tonęły w zaległym jakby z dawna mroku.

- Pan? - wyrosło nagle obok mnie pytanie. Spojrzałem na źródło słowa, które stało teraz przede mną wyraźnie się niecierpliwiać.

- Pan? - zapytała głosem niskim kobieta w białym habicie.

Przedstawiłem się.

- Jestem umówiony z Doktorem Tarr - dodałem.

- Proszę zaczekać.

Wzrok stopniowo przyzwyczaiał się do panującego tu nasycenia barw, a słuch do ciszy dzielonej równym krokiem upływającego czasu. Okrągły zegar wisiał nad czymś w rodzaju recepcji - lada z ciemnego drewna, za nią regał z szufladami i haczykami na klucze pod wieloma, wieloma numerami wymalowanymi z finezją gotyckiego matematyka. Na solidnym mahoniowym blacie czarny telefon model zapewne T-4, prawdziwy rarytas dla kolekcjonerów początku wieku. Obok recepcji cztery fotele, każdy inny w kształcie, wyblakłym kolorze, nadgryzione czasem, stolik do kawy z dwiema białymi filiżankami, znad których unosił się jeszcze obłok dopiero co przerwanej rozmowy. Zacząłem się przechadzać po tej ciszy zaległej czekając cierpliwie. Sień, hol, czy jak to zwał był faktycznie duży, bardzo za duży w stosunku do niezwykle skromnego wyposażenia. Poza

wspomnianymi wcześniej przedmiotami natknąłem się jeszcze na przesuszoną palmę w wielkiej kamiennej donicy na cztery metry wysoką, trzy białe krzesła porzucone w rogu jakby toczyły tam ze sobą dyskusję zaciekle i więcej nic.

A to?

W cieniściej zaułku, z pewnością bardziej ukryta niż na widoku, do ściany przytwierdzona, płyta mosiężna, relief wypukły mocno czasem poruszony. Podszedłem bliżej. Wokół jedynej postaci, choć może nawet dwóch, przyjrzawszy się usilniej, sentencja łacińska, tak zgadywać tylko mogę, o kóż w dzisiejszych czasach tym martwym językiem włada? Postacie chyba mężczyźni były zamazane, jakby we mgle brodziły, a jedna z drugiej wypływała nieznacznie. Napis, jedynie mogłem z trudem rozczytać, znane mi dwa wyrazy: Tarr i... Fether. Otoczone datami granicznymi. Datami życia i śmierci.

Nie możliwe?!

Relief niczym epitafium w tym skrytym od słońca zaułku. Korytarzu cmentarnym.

- Doktor Tarr, zaprasza do siebie – wyrwał mnie z zadumy ściskającej szept pusty w tych przestrzeniach.

Poszedłem przeto korytarzem na lewo od drzwi wejściowych, prowadzony przez siostrę w białym habicie, która wcześniej przywitała mnie już swym chłodem. Pytanie moje o ten przedziwny relief zbyła milczeniem, zresztą w temacie upalnej pogody również zdaje się nie miała nic do powiedzenia. Wzdłuż korytarza po lewej stronie ciągnęły się okna wychodzące na ulicę, którą tu przyszedłem, a po prawej drzwi zamknięte, białe w masywnych ościeżnicach. Może to ten upał, może zmęczenie nim, a może napięcie jakie mnie ogarnęło wchodząc w domu tego progi sprawiły, że korytarz zdał mi się długi, wręcz ciągnący w nieskończoność.

- Pan spocznie.

Usiadłem tonem głosu powodowany, zaskoczony, wręcz nie pojmując tej luki czasoprzestrzennej jaka na mnie spadła niepostrzeżenie. Na szybko zbierałem myśli by pojąć jak i kiedy się tu znalazłem, gdyż jedyną pewną rzeczą było, że szedłem korytarzem.

- Rozumiem, że chce Pan zostać pisarzem i że tak powiem poznać nasze środowisko? - tu zatoczył ręką koło zmuszając mnie do spojrzenia na ścienne portrety, czy też zdjęcia przeróżnych osób, w przeróżnych pozach, uśmieszkach, półuśmieszkach, czasami bardzo dziwacznych, absurdalnie powyginanych.

- Tak - wyjąkałem zerkając wciąż na galerię postaci.

- To my, to nasi podopieczni. To profesor Fether, a tu ja - Doktor Tarr, nie wstając od biurka wskazał dwa zdjęcia zawieszane nad raczej od dawna nie

używanym kominkiem - tak byłem trochę młodszy i zdecydowanie więcej miałem w sobie życia.

Uśmiechnął się do siebie nieukrywanym zadowoleniem z własnego konceptu, odsłaniając zżółkłe zęby notorycznego palacza. Twarz miał podłużną, wręcz chudą, wąski nos, zapadnięte policzki, pełne usta, ciemne oczy głęboko osadzone, mroczne nad podkrążonymi powiekami i pod grubymi brwiami. Włosy rzadkie, proste, ciemno szaro nijakie. Cały był szczupły, kościsty w za dużym niemodnym czarnym garniturze, który zwisał z jego ramion. Wyglądał jak wieszak na garnitur rzucony na krzesło, przez nienawidzącą swej pracy sprzątaczkę.

- Cukierka - podsunął mi srebrną paterę wypełnioną różnokolorowymi landrynkami.

- Nie, dziękuję.

- Trudno - włożył sobie jednego do ust - staram się rzucić palenie.

Przez chwilę siedzieliśmy w prawie idealnej ciszy zakłóconej jedynie sennym tykaniem zegara i niemilośmiernym mlaskaniem mojego rozmówcy, który po raz kolejny zagłębił się w lekturę listu, mojej prośby. Obserwowałem jego usta, język w środku przerzucający cukierka raz na prawą raz na lewą stronę. Spojrzał na mnie i znów spuścił wzrok na trzymany w obu dłoniach tekst. I jeszcze raz przeszył mnie spojrzeniem. Zaczynałem już się niecierpliwić, już chciałem się odezwać, zmuszając oczy do wędrówki po ściennych fotografiach, portretach.

- Te portrety, zdjęcia to taka nasza księga twarzy. Mój przyjaciel z Ameryki nawet nadał jakąś nazwę temu ..., ale nie pamiętam - rozłożył przeprasząco ramiona.

Patrzyłem dalej, zafascynowany mnogością i różnością. A ten, na lewo od kominka, jakby raczej portret trumienny, jakoś dziwnie mi znajomy ...

- Dobrze ..., tak biorąc referencję wyrażam zgodę na Pana prośbę. Choć proszę mieć świadomość, to absolutnie wyjątkowo, powtarzam absolutnie. Rozumie Pan?

- Tak, oczywiście. Jestem niezmiernie wdzięczny.

- Dobrze, dobrze. Zapewne jak Panu wiadomo, jesteśmy ostatnim i jedynym prywatnym zakładem tego typu w mieście.

- Ale też pierwszym jaki powstał na tych terenach jeszcze w XIX wieku - chciałem błysnąć pozyskaną wcześniej wiedzą.

Doktor Tarr tylko machnął ręką jakby się odpędzał od natrętnej muchy.

- To rodzi pewne zobowiązania, pewne zasady. Tradycja - rozumie Pan? Najważniejsza w naszym zakładzie jest tajemnica naszego gościa. Gość przychodzi, przebywa, czasami odchodzi, tajemnica zostaje w tych murach. Choć, wie Pan czasami to stąd wypływa, ludzie myślą nie wiadomo co, żyją wyobrażeniem, iluzją. Kochają złudzenia. Ale to dobrze, powiem Panu, bardzo

dobrze, bo trafiają wcześniej czy później z powrotem do nas i tu zostają. Dlatego - ciągnął po chwili - zmuszony jestem poprosić o złożenie do depozytu wszelkich rzeczy jakie Pan ma w tej torbie, w tym aparat fotograficzny.

- Ale ... - chciałem zaprotestować, skąd on wiedział o aparacie?!

- Otrzyma Pan ołówek i zeszyt, w którym będzie Pan mógł zapisywać swoje spostrzeżenia. Tylko tyle i aż tyle. Siostra Józefa zaprowadzi Pana do jego pokoju.

Chciałem jeszcze o tyle rzeczy zapytać, tyle niejasności już teraz rozwiązać. Chciałem jeszcze prosić o możliwość chociaż paru zdjęć, bez osób, tylko mury, tylko ściany, atmosferę utrwalić na kliszy. Chciałem zapytać o ten relief z sieni, co niepokój mój wzbudził. Lecz w drzwiach już stała siostra, ta sama która mnie tu wprowadziła. Doktor zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie, może którąś z fotografii. Zacząłem wstawać z krzesła czując, że to koniec tej krótkiej audiencji.

- A jeszcze jedno - zatrzymał mnie Doktor Tarr nagle ocknięty z letargu - czy mówił Pan komuś o planie swoim względem pobytu u nas?

- Nie, w pracy wziąłem dwutygodniowy urlop mówiąc, że wyjeżdżam za miasto.

- Dobrze, bardzo dobrze - po czym zapadł znów w sobie tylko znany punkt na ścianie.

- Proszę za mną - głosem nieznoszącym sprzeciwu objęła mnie we władanie siostra Józefa.

Najpierw korytarzem w prawo, w lewo, schodami na górę w nieokreślony sposób zwążającymi się z każdym stopniem, przez drzwi otwarte i zamknięte pieczołowicie na pięć zamków, zasuw kluczami mosiężnymi w rękę siostry strażniczki, obok biurka masywnego jak strażnica warowna na skalistym wzgórzu wzniesiona tuż przy wejściu - wyjściu z tego świata zamkniętego.

- Za mną - siostra Józefa poszła przodem, a ja za nią w korytarz długi, w którym dwa rzędy po bokach drzwi stały. Stary parkiet pod stopami stękał pod naciskiem, beżowa lamperia na ścianie i białe drzwi z dużymi szybami wzmocnione drutem wtopionym w szkło. Światło dnia usilnie, choć z trudem przedostawało się przez szyby nadając półcienie zachłanne. Czyniąc tu jakąś grę zawiła. Panowała cisza.

- Gdzie są wszyscy? - odważyłem się zapytać przełamując milczenie na pół.

- Tu - siostra otworzyła jedno z drzwi - będzie Pana pokój.

Odsunęła się na bok. Wszedłem wpadając od razu na metalową ramę łóżka stojącego prostopadle do drzwi i okna po przeciwnej stronie. Stałem po środku, rozpostarłem ramiona - skrzydlaty anioł tu by się nie zmieścił - dodałem w myślach jakoś tak ściśniętych imadłem ścian. W rogu niewielki stół, na nim szkolny zeszyt w szarej okładce i ołówek. Był jeszcze wieszak na

ubrania przyczepiony do ściany i trzy półki podłużne. Na jednej z nich kubek plastikowy wraz z szczoteczką do zębów. Łóżko równo zasłane białym wykrochmalonym prześcieradłem. Na nim dwie pary identycznych pidżam dwuczęściowych wyprasowanych w kant, koloru zgniłej zieleni z cienkiego materiału, równo ułożone plus dwie pary bielizny. Spojrzałem na stojącą wciąż w drzwiach siostrę Józefę formułując w głowie kolejne pytania.

- Proszę się przebrać - wskazała palcem na leżący dres – zdjąć wszystko. Pana ubrania zdeponujemy w szatni.

- Teraz mam się przebrać?

- Po to czekam.

Zdjąłem marynarkę, krawat, koszulę, spodnie.

- Bieliznę również proszę przebrać.

- Ale, tu? - spróbowałem zaprotestować.

- Tak tu.

Czy wyczułem w jej głosie satysfakcję? A może skryte okrucieństwa kata? Widząc, że nie mam wyjścia odwróciłem się do ściany przebierając się zawstydzony.

- No teraz wyglądasz odpowiednio – rzekła.

A ja stałem w zgniłozielonym dresie przed tą kobietą w białym habicie niczym jakiś skruszony swym występkiem uczniak. Czy to brak marynarki i krawata, atrybutów mojego świata za tymi murami, sprawiły, że nawet przestałem być per pan i stałem się ... no właśnie kim?

- Obiad będzie podany na świetlicy za godzinę - wyszła zostawiając uchylone drzwi.

Nie będąc pewny czy mogę wyjść usiadłem na skraju łóżka. Po chwili wstałem, usiadłem na krześle, przekartkowałem pusty zeszyt. Podeszedłem do drzwi. Wszedłem na łóżko, aby zobaczyć jaki widok niesie w sobie okno umiejscowione na dwóch trzecich wysokości pokoju u węzłowia łóżka, gdyż stojąc na podłodze nie można było przez nie spojrzeć. Widok poprzecinany kratą prętów wychodził na przeciwległe skrzydło budynku, w którym były co najmniej dwa piętra, zakończone dachem spadzistym, mansardowym, z czerwonej dachówki. W połaci dachu dostrzegłem jeszcze lukarny równo rozstawione, otoczone ozdobnym obramowaniem. Ze swojej perspektywy naliczyłem dziesięć okien na każdym piętrze, okien zwyczajnych, zakratowanych umiejscowionych w piaskowej elewacji. Słońce odbijało się w nich złociście. Złociście – zapamiętałem. Bardziej domyślając się niż widząc, zakładałem istnienie jeszcze jednego piętra - wysokiego parteru oraz dziedzińca w obrysie murów. Gdzieś z dołu dobiegał gwar rozmów, śmiechu, a raczej salw śmiechu wybuchających nagle i nagle gasnących jakby ktoś nakładał klosz. Nakładał na życie szklany klosz.

Dla człowieka siedzącego pod szklanym kloszem, znieczulonego na wszystko, zatrzymanego w rozwoju jak embrion w spirytusie, całe życie jest jednym wielkim, złym snem.¹

Wyłynęła ze mnie słowem, zdaniem zasłyszonym, wyszeptanym mi do ucha chyba kiedyś, może w moje dziesięciolecie chłopięce, a wbitym świadomie w podświadomość, by teraz niespodziewanie... Otrząsnąłem z siebie te litery, choć przecież współgrające jakoś przedziwnie. Podszedłem znów do drzwi, wyjrzałem, drzwi lekko skrzyknęły. W końcu korytarza siedziała nadal siostra strażniczka, jak ją nazwałem. Znad jakiś kartek podniosła głowę i spojrzała w moją stronę. Będąc niczego pewny cofnąłem się odruchowo. Jednak ciekawość, no i cel mojego tutaj pobytu były silniejsze, wyjrzałem jeszcze raz. Znowu na mnie spojrzała, zrobiłem krok do przodu i kolejny krok. Ona patrzyła, choć z tej odległości nie mogłem rozpoznać ani wyrazu jej starej twarzy, bo na pewno była stara, ani tym bardziej wyrazu jej oczu. Ale byłem pewny, że na mnie patrzy, czułem to. Zrobiłem znowu krok w stronę przeciwną niż ona siedziała jakże nieruchomo za swym biurkiem. Ruszyłem powoli wzdłuż ściany, minąłem zamknięte drzwi identyczne do drzwi mojego pokoju, choć może biorąc pod uwagę kraty w oknie, nazwać by to należało całą. Potem jeszcze trzy kolejne, za którymi przez szybę dostrzegłem pokoje w wystroju raczej chyba podobnym do mojego, choć wydało mi się, że większe. Dalej korytarz rozszerzył się w hall, oświetlony oknami po obu stronach. W nim pięć stołów z czterema krzesłami każdy, prostych, drewnianych, obok jakieś otomany, sofy, szezlongi rozstawione w nieładzie na perskich dywanach puszczających do mnie perskie oko przypadkowo odbitym promieniem słońca. Wszystko nadszarpnięte zębem czasu, powycierane, wyblakłe, zawieszane w drobinach kurzu od lat. Choć to oko – wrażenie celowego mrugnięcia? Jak, skąd ... Na przeciwnej ścianie od wejścia ...

- Idź do swojego pokoju, niebawem będzie podany obiad - bezszelestnie pojawiła się tuż obok siostra strażniczka.

- Tak - zdołałem tylko w zaskoczeniu wydukać. To ich pojawianie się nagle nie wiadomo skąd i do tego to bezceremonialne przechodzenie na ty, jedynie po tym jak założyłem tę cholerną pidżamę. Ale co tam, widocznie takie są przepisy. Zapewne przekazano siostram, że nie mogą mnie traktować w jakiś odmienny sposób. I dobrze, w ten sposób więcej obserwacji tak istotnych dla mej powieści stąd wyniosę.

Drzwi zamknęły się za mną. Usiadłem przy stole. Czekałem. Cisza, by po czasie nabrzmiałym sobą przerodzić się w szuranie kapci, jakiś równy krok,

^{1 1} Sylvia Plath – „Szklany Klosz”

czyjeś sapanie, odgłosy gęste, sprzeczne, zbliżające się, chaosem niespokojnym przepelnione. Znów cisza. Cisza nagle zapadła, jak cięciem rażona.

- Pokój numer jeden, do łazienki! - rozległ się czyjs głos.

Otwierane gdzieś na korytarzu drzwi, odgłos kilku kroków kilku osób, zamykane drzwi, znów kroki, otwierane i zamykane drzwi. Widziałem to oczami wyobraźni, niczym skomplikowaną mechanikę korytarza, bezobsługowej maszyny pełnej trybów, kół zębatych przesuwających ludzi tylko w sobie znanych kierunkach. Zresztą czy to jedynie wyobraźnia być mogła? Czy nie zwid pamięci utrwalonej na kliszy doświadczenia.

Cisza.

- Pokój numer dwa, do łazienki!

I znów:

- Pokój numer trzy, do łazienki!

- Pokój numer cztery, do łazienki!

- Pokój numer pięć, do łazienki!

Cisza.

- Pokój numer pięć, do łazienki!! - powtórzył jeszcze głośniejszym głosem.

Drzwi do mojego pokoju otworzyły się gwałtownie. Stała w nich nieznana mi siostra w średnim wieku, o żółtawej karnacji i grubych brwiach nadających jej złowroźny wygląd wysuszonego sępa.

- A dla ciebie zaproszenie na piśmie?! - krzyknęła ścierając metal spólgłosek w ostre końcówki opiłków- już mi do łazienki!!! A i kara: obiad dzisiaj w pokoju dla tego wielmożnego pana!

Ktoś, gdzieś się zaśmiał.

Łazienka znajdowała się tuż przy biurku siostry strażniczki, cztery umywalki, trzy kabiny natryskowe, a raczej trzy wnęki w murze z metalowymi słuchawkami natrysków zwisającymi z sufitu, z których kapiała woda na drewnianą zbutwiałą kratkę. Toalety, a dokładniej kible oddzielone cienkimi przepierzeniami znajdowały się na końcu. Pożółkłe ze starości, przeciekające lub zalane moczem, bez drzwi. Wszędzie unosił się zapach wilgoci i ekskrementów. Stałem okrakiem nad kałużą czegoś, oddałem mocz, umyłem ręce kostką szarego mydła, wytarłem w coś co wisiało na haku przy umywalce.

Nie rozumiem rozdźwięku między w sumie czystością pokoju, pościeli, ubrania jakie mi dano, a tym co zobaczyłem w łazience. Dwa światy - zdążyłem jeszcze pomyśleć nim rozległ się turkot metalowych kół wózka i poczułem zapach nadjeżdżającego obiadu. Wózek zatrzymał się przed moim pokojem, by po chwili wielki mężczyzna o wielkich dłoniach, długich tłustych czarnych włosach związanych rzemieniem wniósł plastikowy talerz z zupą i drugie danie. Po chwili wrócił z kompotem i plastikową łyżką i widelcem.

Drzwi zostawił otwarte, więc słyszałem, jak inni siadają do stołów w świetlicy, a później już tylko siorpanie, mlaskanie i inne bliżej niesprecyzowane odgłosy. - Za chwilę zacznie się cisza poobiednia, proszę kończyć - rozległ się głos siostry groźnej gdzieś z korytarza i odgłos dzwonka wprawionego ruchem ręki w ruch.

Usiadłem na łóżku walcząc z żołądkiem i chaosem w głowie. Czego ja się spodziewałem? Wziąłem zeszyt ze stołu, pierwsza strona. Ołówek. Zacząłem pisać. Opornie to szło. Opisanie miejsca, opisanie siebie w tym miejscu, opisanie wrażeń, odczuć. Nieskładnie jakoś.

- W trakcie ciszy leżymy - w drzwiach stała siostra, świdrując mnie wzrokiem. Położyłem się. Drzwi została uchylone a do pokoju wkradła się cisza jaka zaległa w pokojach, na korytarzu, w świetlicy. Tylko tykanie zegara, gdzieś na korytarzu, którego nie zauważyłem wcześniej.

Litery zaczęły składać się w zdania. Zdania w strony. Doszedłem do dziewiątej, gdy rozległ się dzwonek, taki szkolny, wkurzający samym faktem swego istnienia. Z pokoiów zaczęli wychodzić, wyrząłem, po korytarzu jedni szli w prawo inni w lewo, jeszcze inni stali pod ścianą, jakby czekając na sygnał.

*„czekamy, czekamy,
czekamy na sygnał,
czekamy na sygnał z centrali,
centrala nas ocali”²*

Zawirowało w głowie z dawna zapomnianym tekstem. Sami mężczyźni w brudno zielonkawych pidżamach. Siostra, którą widziałem pierwszy raz prowadziła dwóch w stronę łazienki. Jeszcze inna podeszła do mnie.

- Jestem siostra Małgorzata, zapraszam do rozmowy - przedstawiła się, gestem wskazując bym szedł za nią.

Po drodze zebrała jeszcze kilku, za każdym razem powtarzając wymówioną sentencję. Poszliśmy rzędem za nią do małej sali, która mieściła się na końcu świetlicy, za małymi drzwiami ledwo widocznym w ścianie. Tak małymi, że aż wymuszającymi złożenie niskiego pokłonu przed maskaronem o twarzy dość puciołowatego dziecka ze zbyt dużymi uszami i spojrzeniem szaleńca w rozbieganym kamiennym wzroku, wmurowanym nad framugą.

Pokój, w zasadzie niewielka sala, musiała się mieścić na końcu skrzydła budynku. Zakończona owalnie tryptykiem arkadowych okien, gotyckich dwudzielnych, przedzielonych słupkiem każdy. Panował tu upał dzisiejszego dnia, gdyż okno wychodziło na południe, a dopiero co słońce w swej wędrówce przybliżyło się do zachodniej krawędzi nieba.

Podszedłem do okna. Widok z okna rozciągał się na dzielnicę kamienic

² Grzegorz Ciechowski/Republika – „Centrala”

o nieregularnych przypadkowych kształtach i czarnych pokrytych lasem kominów dachach opadających stopniowo ku rzece, którą dawni władarze miasta postanowili ukryć w głębokim kanale, gdyż odór ingrediencji płynących jej leniwym nurtem z okolicznych fabryk włókienniczych był nie do zniesienia. Fabryki, te wielkie molochy, w których nawet biały papież wznosił modły do swojego boga, padały i powstawały, lecz kanał trwał od zawsze, stanowiąc chemiczne źródło choroby psychicznej miasta. Choroby maszerujących równo tłumów, szarych, w łachmanach i garniturach robotniczych.

*pornografia rzeczywistości
podchodzi do gardła
staje w poprzek
nagrzane powietrze
pętla obrazów
szyją nie gardzi
zmielony umysł
wydrażony
zaciska
język
skowytu narzędzie
sztywnieje
krzykiem
nabrzmiały
wisząc
pod belką nieba
wiem
jutro
znów
wstanę
5.30
miastem idąc
krawatem ściśnięty*

Usiedliśmy na wkoło rozstawionych krzesłach. Jedno z nich zajęta siostra Małgorzata. Grube rogowe oprawki okularów nadawały jej więcej lat niż chyba miała w rzeczywistości. Jej twarz wydawała się sympatycznie łagodna, choć nie mogłem się oprzeć wrażeniu dwoistości w niej zawartej, jedynie co przeczuwanej niż opartej czymkolwiek namacalnym.

- Witajcie na kolejnych naszych rozmowach, czy ktoś chciałby zabrać głos?

Ośmiu mężczyzn spojrzało po sobie. Spojrzałem po innych.

- Dobrze - kontynuowała siostra Małgorzata - jest z nami nowy kolega, który

będzie z nami przez jakiś czas. Czy mógłbyś się przedstawić?

- Ja, nazywam się... - zacząłem.

- Nie, powiedz jedno słowo określające ciebie, albo czym się zajmujesz, lub kim chciałbyś być, a może co czujesz.

Zatkała mnie tak sformułowana prośba. Jak to jedno słowo, a tyle ścieżek wyboru? Zacząłem usilnie się zastanawiać co powiedzieć, aby wyjść z tej ciszy, zaległej niezręcznie. Nie cierpiałem takich momentów, takiego wyrywania do odpowiedzi, stawiania w blasku lamp co prosto w oczy zagładają, tak prosto w twarz. Bezlitości, a przecież przyjaźnie.

- Ale ja nazywam się ...

- Nie, jedno słowo, może kim jesteś albo kim chciałbyś być?

Przecież nie powiem jej, że jestem urzędnikiem bankowym kategorii trzeciej, a mój ojciec też był urzędnikiem bankowym, na szczeblu prokurenta, to takie absurdalne i w zasadzie nic nie mówiące. Nie powiem też, że czuję się jak każdy z bohaterów poczytnego Kafki i jednocześnie jak wszyscy razem wzięci.

- Jestem pisarzem – wydukałem najciszej jak mogłem. Jakże niepewnie. Bo przecież jak? Ja pisarzem, raczej grafomanem pokątnym. Mającym coś o powieści, dzienniku tajemnym.

- Wyśmienicie - wyraźnie uradowała się siostra Małgorzata - będziesz drugim pisarzem w naszej grupie.

- To - wskazała na człowieka siedzącego po mojej prawej stronie, dwa krzesła ode mnie - jest Edgar - również człowiek pióra.

Spojrzałem ku niemu i nie wiem, czy to nastąpiło wcześniej, czy też w chwili, gdy spojrzałem, ale we wskazanym miejscu siedział teraz mężczyzna ubrany, zamiast zielonkawej pidżamy, w elegancki czarny surdut, kamizelkę, białą koszulę i czarną chustę zawiązaną na szyi w wielką kokardę. Mężczyzna był w średnim wieku, włosy dłuższe, za uszy, nigdyś bujne uwidaczniały powstające zakola. Pod wielkim nosem wąs równo przystrzyżony. Spojrzał spokojnie na mnie, kiwnął głową. Oczy, jego oczy wydały mi się dziwnie czujne a spojrzenie ciężkie, głębokie, zawierające w sobie niezbadane jeszcze pokłady smutku. Pozostali siedzieli nadal w swych pidżamach, jakby wszystko było normalne, jakby nic się nie stało.

- To jest Franciszek - siostra wskazała na chłopca, mężczyznę w wieku dwudziestu, dwudziestu kilku lat - student.

Spojrzałem i znów dotychczasowy ubiór zniknął, a pojawił się ... Franciszek był ubrany ... nie potrafiłem powiedzieć jak, jakoś nie tak, nawet nie po dzisiejszemu uwzględniając modę paryską, madrycką czy wielkiego Berlina, czerwona koszula w kratę niebieską z grubego materiału, niebieskie spodnie lekko powycierane z dziurami na kolanach, poszarpane z nitkami na zewnątrz wystającymi, buty chyba z jakiejś tkaniny z białymi sznurowadłami. Próbowałem odczytać napis na koszuli jaką miał też pod spodem, a której

fragment wystawał z pomiędzy niezapiętych poł koszuli w kratę. „No future” – złożyłem litery do siebie mówiące mi absolutnie nic. Wyglądał chyba sympatycznie, w kwadratowych okularach o dość grubych denkach, czuprynie szatynowych włosów, spojrzeniu uciekającym w panice. Kiwnął mi nieznacznie ręką na powitanie.

Nie mogłem zrozumieć tych przemian, chciałem zapytać, pozostali wyglądali jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

„Maski coraz inne, coraz mylne się nakłada.”³

Może to ja popadam w obłąd? Może to mi się wydaje, halucynacje. Przypomniała mi się księga twarzy z gabinetu Doktora Tarr. Chciałem z kimś porozmawiać. Chciałem wyjść z tej sali, gdzie ciężkie czarne draperie zwisające z sufitu potęgowały jeszcze uczucie niepojmowania otaczającej mnie rzeczywistości. Nasuwającej się na mnie jakąś duszną płachtą.

Nagle człowiek siedzący naprzeciwko mnie wstał nagle, przewracając gwałtownie krzesło, na którym siedział. Zachwiał się na długich nogach, a jego ręce zaczęły się ruszać bez porozumienia z umysłem.

*And she turned around and took me by the hand
And said I've lost control again
And how I'll never know just why or understand
She said I've lost control again⁴*

Jego głęboki głos i przedziwny taniec jaki wykonał podczas tej, tego, nie wiem co to było!!! Wciśnięty w twarde krzesło, które teraz stało się jedynym oparciem w tej przedziwnej płynności zdarzeń rzeczywistości, spojrzałem na siostrę, spojrzałem niepewnie na pozostałych.

- To jest Ian - jak gdyby nic zakomunikowała siostra Małgorzata spokojnym głosem - muzyk, poeta.

W ciągu tych paru chwil jakie minęły od tego czegoś, Ian stał, nie on nie stał, on się kołysał niczym dziecko z chorobą sierocą, a jego strój zmienił się w czarną koszulę z kołnierzykiem, o podwiniętych rękawach, spod której wystawała szara podkoszulka, spodnie można by powiedzieć eleganckie, kiedyś zapewne z kantem. Ten wysoki, szczupły mężczyzna patrzył teraz posepnie na mnie spod równo przystrzyżonej grzywki oddychając jeszcze ciężko po wykonanym tańcu, bo tak by trzeba to chyba nazwać.

- Ian, możesz usiąść - łagodnie powiedziała siostra Małgorzata, która teraz siedziała z rozpuszczonymi czarnymi lokami włosów, w sukni z czerwonego

³ Edward Stachura – „Życie to nie teatr” (fragment)

⁴ Ian Curtis / Joy Division – She's lost control (fragment)

atłasu, zdobioną koronką, trzymając czarnego kota

Tego było już za wiele. Stanowczo, za wiele. Patrzyłem osłupiały na pozostałych. Wstałem gwałtownie, odepchnąłem krzesło, które przewróciło się na podłogę z hukiem.

- Ja przepraszam, ja nie mogę, ja muszę stąd wyjść! - niemal z krzykiem dobiegłem do wyjścia, wyjścia z tej klatki szaleńców, otworzyłem niskie drzwi sali, waląc się przy tym w głowę, wybiegłem, przez świetlicę pełną ludzi dobiegłem do swojego pokoju zatrzasnąwszy drzwi. Lecz drzwi wcale się nie chciały zamknąć. Odbijały się od framugi, ilekroć próbowałem je zamknąć. Łapałem je, przechodziły przez palce, dopychałem, rozplątywały się nie istniejąc. W końcu zrezygnowany, nie, nie zrezygnowany, wyczerpany przestraszeniem, osunąłem się na podłogę. W kącie pokoju, gdyby tylko był wystarczająco wąski i głęboki, rękoma zakrywając głowę, skulony, nie słyszałem wbiegających, nie czułem szarpiących, ukłucia, wbicia, przelewającej się żółtej cieczy, poczułem łagodność, senność.

- Jestem profesor Fether - leżąc na jakiejś otomanie w jakimś pokoju usłyszałem przenikający głos za sobą. Spróbowałem się podnieść. Czyjeś ręce powstrzymały mnie spokojnie acz stanowczo.

- Co wieczór spotykamy się przy zastawionym stole, wśród resztek jedzenia i powalonych deszczem kwiatów. Przyjaciele. Skrytobójcy. Spotykamy się by opowiedzieć moją historię - usłyszałem monotony głos, chciałem znów się podnieść, coś powiedzieć. Silne ręce powstrzymały mnie ponownie.

- Co wieczór spotykamy się przy zastawionym stole, wśród resztek jedzenia i powalonych deszczem kwiatów. Przyjaciele. Skrytobójcy spotykamy się by opowiedzieć moją historię - powtórzył profesor Fether o ile to był on, bo jedynie przecucie mieć mogłem, poczułem nagle jak zapadam w senność, odrętwienie, gdzieś odchodzę, przychodzę, a moje usta szepczą bezdźwięcznie:

„Co wieczór spotykamy się przy zastawionym stole, wśród resztek jedzenia i powalonych deszczem kwiatów. Przyjaciele. Skrytobójcy spotykamy się by opowiedzieć moją historię”

Szedłem szepcząc, szedłem ulicą o kocich wilgotnych łbach spoglądających na mnie, ścianach piętrzących i ciemnych milczących oknach, po czym zacząłem mówić głośniejszym głosem, jakby poza sobą, jakby z oddali, z zewnątrz obserwując siebie. Ja obserwujące mnie - co to znaczy?

- Urodziłem się w maju, roku ogłoszenia przelotu komety z świetlistym warkoczem snów, zwiastującym widmo zarazy nad miastem rozpacz. Urodziłem się w mieście fabrycznym, nad rzeką zbyt gęstą by żeglować łodzią. W trzynastym dniu miesiąca, ostatnim dniu tygodnia urodziłem się w szpitalu o długich korytarzach z pootwieranymi drzwiami do białych salach, z który

dochodziła kakofonia dźwięków życia i śmierci. I te popsute krany z cieknącą nieustannie żółtą wodą o zapachu amoniaku, kapiącą w chwilach rozpaczliwej ciszy, gdy pani śmierć wygrywała. Było duszno, wilgotno w tamten dzień. Muchy brzęczały usilnie, karmiąc się chorobą drażącą mury. Lodowaty poród wyrzucił mnie metalowymi kleszczami poza ciemność, prosto w migotliwe światło świecy, w ogień, w którym powyginane skrzydła ćmy zawsze płoną. W zaciśniętej dziecięcej pięści, uchwyciłem rozrastający się chłód pustki mojej i mogłem tylko patrzeć niewidzącymi oczami. Pamiętam pasy skórzane ściskające nadgarstki matki, bladość jej dłoni, migoczącą konwulsyjnie i jej wrzask zamierający niemo w bladych wąskich ustach. Pamiętam jej oczy wypływające nienawiść, gdy ktoś nieopatrznie przybliżał mnie do niej. Wiedziałem. Widziałem.

- Coś jeszcze? – usłyszałem gdzieś poza mną.

- Nie .. chociaż ...

- Tak?

- Pamiętam, że świat za oknem pokoju, w którym leżałem podzielony był w kwadraty. Malowany ptak przelatywał z jednego kwadratu do drugiego, podczas gdy ja leżałem zawinięty, bez ruchu, wpatrzony cały czas w okno dzielone. Zawsze, ale to zawsze wpatrzony w tą samą stronę. Nie pamiętam, aby matka była ze mną. Byłem sam w tym szarym pokoju, na końcu korytarza, gdzie prawie nikt nie przychodził.

Widziałem tam za oknem, neon wiszący na budynku, który był chyba częścią budynku, w którym był mój pokój. W nocy neon układał się w niebieski napis Maison de Sante. Nie, nie wiem. Może to chłód nocy malował się w błękicie odbijając się w pyle z kominów górujących nad miastem, a ja dopisałem do tego piosenkę.

- Czy tak było na pewno? Czy dokładnie tak pamiętasz? – wwiercał się we mnie głos gdzieś obok, spokojnie, ustawicznie.

Ściśnięty swoimi ramionami, zabijałem się w sobie sieroco.

- Urodziłem się w maju tamtego roku w mieście fabrycznym. Trzynasty dzień miesiąca, sobota, w szpitalu o długich korytarzach, białych salach. Pamiętam kwiaty w wazonach i ich słodki zapach, ciepło, pierwszy dotyk matki, tuliłem się do niej, a ona do mnie.

Ale czy tak? Nie tak, inaczej, nie wiem. Nie wiem! Nie pamiętam! Zostawić dziecko tam, zostawić mnie, tu nie tam, nie mówić, nie wiem, zapomnieć...

- Dobrze, już dobrze, spokojnie, cicho wiatr wieje w ramionach, łagodnie deszcz otacza kroplami, ciepło rozkłada promienie słońca równomiernie, jesteś bezpieczny, spokojny. Lekko unosisz się. Spójrz teraz na miasto z tamtych dni.

- Miasto z tamtych dni? Obraz. Miasto. Piosenka. Obraz tamtego miasta jest na granicy widzenia, na granicy usłyszenia piosenki, radosnego walczyka, jazdy tramwajem, ulic jak wąwozy otoczonych kamienicami, z oczodołami okien

i łuszczącym się tynkiem pokrytym sadzą. Tak, tak było. "Walczyk o ...". Nazwa miasta? Jaka to miasto się nazywało? Choć przecież wszystkie dzieci uczyły się tego i śpiewały maszerując parami wokół, po wielkiej sali, szumiącej obracającymi się skrzydłami wentylatora, koszącego nieuchronnie nagrzone powietrze. Tak powoli nad głową zagarniając słowa i melodie w ciągły powolny wir. Wszystkie dzieci musiały się tego nauczyć. Do słów doszły obrazy widziane zza brudnych szyb czerwonych tramwajów, które głośnym skrzypieniem przetaczały się ulicami miasta. Z drewnianymi krzesłami przy oknach. Ścisłem ubrań wiszących nade mną, wokół mnie, pchających się potem, zmęczeniem, nieustającym brakiem wszystkiego i posiadaniem niczego.

"barwnych miast jest co niemiara, Berlin, Praga, Paryż, Rzym, lecz nas (ona?) urzekła szara, (jej?) fabryk dym. Sam nie wiesz, kiedy ... chwyciła cię w swą sieć ... tu pracuj i tu siedź.

O najpiękniejszych z miast piosenkę z nami nuć, oczarowała nas kochana szara ..."

Zaśpiewałem choć przecież nie potrafiłem śpiewać. Gdzieś z przeszłości zapomnianej, mojej, zacinając się czy też dopowiadając innymi słowami jej imię, którego brzmienia wysławić nie mogłem.

- Tak żyłem, w mieście fabryk i tysiąca kominów. Dym fabryk nigdy nie ustaje, nie rozwiewa się i nie znika i powietrze nie staje się bardziej przejrzyste. To było takie namacalne, jak nasze mieszkanie w kamienicy przy głównej ulicy miasta. Pierwsze mieszkanie było przy ul. Głównej, tak mi się przynajmniej wydaje. Była tam winda i schody kamienne wytarte tysiącem kroków. Winda w środku klatki schodowej, zawsze nie działająca, otoczona wspinającymi się wokół niej schodami. Winda ze schodami, coś przerażającego. Winda ze schodami, zamknięta klatka. Winda ze schodami, wyciem sznurów wciągająca się do nieba po kołowrotkach duszności. Po szepcie monotonnym, dychawicznym matki, ilekroć trzymając mnie mocno za rękę musiała do niej wejść i jechać, jechać, jechać

... gdziekolwiek bym się znalazła - na pokładzie statku czy przy stoliku paryskiej kawiarni - to i tak w gruncie rzeczy tkwiłabym tylko pod szklanym kloszem własnej udręki, pławiąc się we własnym skistym sosie.⁵

- Dobrze, na dzisiaj wystarczy. Jak doliczę do trzech obudzisz się, otworzysz oczy ...

Podniosłem powieki, światło elektryczne z żarówki pod sufitem chłodną

⁵ Sylvia Plath – „Szklany klosz”

poświatą otworzyło szerzej oczy, szerzej, szerzej zdawało się krzyczeć w mojej głowie. Zdziwionym spojrzeniem otoczyłem pusty nie znany mi pokój. Puste, blado niebieskie ściany, ciemna podłoga pokryta zniszczonym czasem dębowym parkietem, fotel z wysokim oparciem, o wypłowiałej strukturze zieleni i żółci, kozetka, na której leżałem. Spuściłem nogi, dotknąłem ziemi jakoś wirującej ociężale. Ręką wyciągniętą w geście braku równowagi złapałem ścianę, byle nie paść. Jak ślepiec wzdłuż ściany dotarłem do drzwi białych, ciężkich. Otworzyłem z wysiłkiem. Wąski korytarz, dwoma słabymi żarówkami bez kloszy oświetlony, bez drzwi po bokach, bez zakrętów, szedłem. Duszno. W głowie domysły prześcigały się z wątpliwościami, zwidy z chłodem ściany. Wilgoć skraplała się w zapachu zgnilizny. Otworzyłem kolejne drzwi i znalazłem się w przydzielonym mi pokoju, już ledwo co oświetlonym zachodzącym słońcem odbitym w przeciwległych oknach. Chciałem, musiałem tylko zasnąć. Zasnąć.

Leżałem z otwartymi oczyma już od dłuższego czasu. Po wczorajszym pierwszym dniu, poranek wydał mi się najwspanialszym momentem jaki mogłem sobie wyobrazić. Słońce tym razem wschodzące wpadało na wprost przez okno, rozświetlając pokój ciepłem i spokojem. Nic się nie działo. Nie dochodził żaden głos mogący zmącić tę wspaniałą ciszę. A nawet tykanie zegara na korytarzu przyjemnym było uzupełnieniem, wypełnieniem obrazu jaki tworzyłem w głowie. Nie chciałem myśleć, wspominać i rozwiązywać żadnej zagadki z dnia poprzedniego. Lecz umysł ma to do siebie, że najlepiej mu się myśli wtedy, gdy nie chce o czymś myśleć. Wtedy przedmiot, podmiot, zdarzenie wchodzi do głowy, zaczyna wirować i już nie można przestać o tym myśleć. Moją uwagę zakrzętnęły, choć wydawać by się mogło, że były ważniejsze zdarzenia, promienie słońca wpadające do pokoju. Patrzyłem na ten blask złocisty i wyteżając całą swoją niewiedzę do nauk ścisłych próbowałem pojąć, jak to się dzieje, że skoro mamy niewątpliwie wczesną godzinę poranną, słońce powinno jeszcze być stosunkowo nisko nad horyzontem, to jakim cudem, jak do cholery, tak usilnie zagląda do pokoju, skoro na jego drodze jest przeciwległe skrzydło budynku? No i jak to się działo wczoraj, gdy nastawała pora zachodu, czyż rzeczywisty mógł się wydawać blask okien w tamtym skrzydle, skoro na drodze słońca stał gmach, w którym ja się znajdowałem? Leżąc, wyciągnąłem rękę ku górze by przeciąć promienie, a na ścianie powstał cień, może osła z wielkimi uszami, a może zająca, dodałem drugą dłoń czyniąc się cieniem ptaka. Mógłbym się bawić tak, odsuwając w cień wczorajszy dzień, ale jego intensywność poczęła się wdzierać w myśli moje, czyniąc ścisk gardła i szybsze krążenie krwi w arteriach losu. Usiadłem na łóżku, aby chociaż tym ruchem odpędzić tamte wspomnienia, gdyż czułem, jak przekraczają logikę myślenia i oceny rzeczywistości. Z korytarza zaczęły dochodzić pojedyncze szurania kapci, szepty. Drzwi otworzyły się, a do

mojego pokoju zajrzała uśmiechnięta owalna twarz siostry, której nie pamiętałem z dnia wczorajszego.

- No jak tam się spało złociutki? - zagadnęła dobrotliwie, jej głos miał ciepłą barwę - załóż kapcie, bo się jeszcze nam tu przeziębisz, weź szczoteczkę, kubek i chodź do łazienki.

Założyłem kapcie stojące do tej pory równo pod łóżkiem. Zauważyłem, że nie wiem skąd i w jaki sposób miałem na sobie flanelową pizamę, dość elegancką, co znów wzmogło mój niepokój co do stanu moich wspomnień.

- A czy siostra nie wie - spróbowałem zagadnąć.

- Chodź, chodź - pospieszyła mnie - przyszedłem na poranną zmianę i niestety nie wiem co działo się wczoraj - odpowiedziała pospiesznie na moje niezadane pytanie.

Korytarz tak jak wczoraj wymalowany był naprzemiennymi plamami słońca i cienia, tylko tam gdzie wczoraj był cień były jasne plamy światła, a tam gdzie było jasno, teraz było ciemniej. Na korytarzu minąłem dwóch mężczyzn, tak jak ja w pidżamach, wychodzących z łazienki. W jednym rozpoznałem poznanego w tak dziwnych okolicznościach Edgara, który kiwnął mi z powagą głową, drugiego nie znałem. Na końcu korytarza, tuż za wejściem do toalety, przy biurku siedziała nadal ta sama siostra strażniczka. Zupełnie nieruchomo. Może spała. Dostrzegłem teraz, w tej nowej konfiguracji światłocienia, zegar na ścianie, okrągły, duży, ten który swym tykaniem wypełniał ciszę jednostajnie. Zbliżając się przyjrzałem się jemu z bliska. Gotycki cyferblat cyfr był niewątpliwie artystyczną robotą, jednakże najbardziej zdziwił mnie brak wskazówek, nie było ani godzinowej, ani tej co minuty w pośpiechu odmierza. Więc skąd mechanizm, co cykanie po świecie tym roznosił?

Z obawą, mając w pamięci wczorajszy wstrętny widok łazienki, wszedłem do środka. Łazienka okazała się zupełnie, ale to najzupełniej zwykłą. Białe kafle na ścianach z delikatnymi kwiecistymi wzorcami, umywalki białe ceramiczne, armatura może trochę stara w wyglądzie, wręcz urocza. Minąłem natryski, toalety. Wszystko było czyste, fakt, że ze śladami długotrwałego użytkowania, ale nie zawierało nic z ohydności dnia wczorajszego. Żadnych ekskrementów, zapachów, kapiącej wody. Siostra stała w drzwiach do łazienki zajęta rozmową z siostrą strażniczką, która widocznie przebudziła się ze stanu swego bezruchu.

- A czy można tu się jakoś ogolić? - zapytałem stojącej bliżej, widząc siebie w lustrze.

- Oczywiście - z biurka siostry strażniczki wyciągnęła elektryczną maszynkę do golenia na długim sznurze, podłączyła do gniazdko w korytarzu. Przyglądałem się urządzeniu, mając w ręku takie cudo pierwszy raz w życiu. Wiedziałem, że coś takiego jest, widziałem na wystawie sklepu kolonialnego.

Ogoliwszy się, przeczesawszy włosy ręką i przemywszy twarz stwierdziłem ostrożny wzrost pozytywnych fluidów w mojej skołowanej dniem wczorajszym głowie. Oczywiście nie zamierzałem odpuścić wyjaśnienia zdarzeń jakie mnie dopadły, ale na ten moment musiałem odsunąć to na dalszy plan, gdyż każda minuta spędzona tu napawała mnie nieustającym zdziwieniem.

Wróciwszy do pokoju zastałem leżące na łóżku eleganckie lniane spodnie z kantem, jasną koszulę z kołnierzykiem na krótki rękaw, brązowe mokasyny. Wszystko dopasowane, jakby szyte na miarę pod wytrawnym okiem krawca. Przebierając się omiotłem wzrokiem w pośpiechu zaścielone równo łóżko, zeszyt spoczywający na stole. W drzwiach pojawiła się głowa Edgara.

- Chodźmy na śniadanie - powiedział wesoło.

- Z przyjemnością - poczułem, jak mnie ssie z głodu uświadomiwszy sobie, że nic nie jadłem od wczorajszego obiadu.

Stoły, krzesła, świetlica wyglądały tak jak wczoraj, choć nie, słońce padając z drugiej strony oświetliło krajobraz przedmiotów tu zaległych jakby zupełnie inną perspektywą, rzekłbym innym spojrzeniem. Owe rzeczy stojąc w tych samych miejscach wydały się w barwach jasnych, silnych i jakby pełnych życia, soczystych niezwykle, jak zapach czarnej kawy unoszący się z dzbanków ustawionych na stołach. Edgar zaprowadził mnie do stołu, przy którym siedziało już dwóch nieznanych mi mężczyzn, pierwszy z nich w ciemnych okularach.

- To jest Andy - Edgar przedstawił nieznanego. Był to człowiek w średnim wieku o białych prostych długich włosach sięgających ramion, o bladej cerze, wklęsłych policzkach, wąskim nosie i ustach.

- Cześć - powiedział cicho, powoli, wykonując bliżej nieokreślony ruch dłonią, która uniosła się w przejrzystości powietrza, smukle, opadła powoli zwiewając swym niebytem. Wszystko jakby ..., jakby każdy ruch narażał go na stłuczenie jego porcelanowego serca.

- To jest Jerzy, zacna dusza naszego zagubienia - Edgar wskazał na starszego z nich, o ogorzalej słońcem twarzy, włosach w nieładzie, brązowych wielkich oczach, w których pływały weneckie gondole pełne utraconej miłości. Dlaczego? Nie wiedziałem. Czasami jedno spojrzenie wystarcza za historię całego życia. Spojrzałem i poczułem sympatię do tego tęgiego mężczyzny. Wiem, może poniosła mnie ta irracjonalna chwila na krawędzi wyciągniętych na powitanie dłoni, poczułem właśnie to, ściskając jego dłoń.

- Miło mi Panów poznać.

- Siadajmy, siadajmy, bo jajecznicza stygnie.

Śniadanie było podane na swój sposób wykwintnie. Wszyscy ubrani podobnie jak ja w strój casual, ale elegancki, jak to się mówiło u mnie w robocie układając usta w ten wyćwiczony sposób pozwalający zaakcentować wyższość urzędniczą nad niższością petencką. Naszła mnie tu myśl o bliżej jeszcze nieokreślonej odległości tego miejsca zarówno w czasie i przestrzeni, od całego dotychczasowego życia szarpiącego się zachłannie w pogoni. Przy stole obowiązywały nienaganne maniery. Dwie siostry ograniczały się do dyskretnego obserwowania nas. Odnalazłem wzrokiem przy stoliku pod ścianą znanego mi już Iana ze wzrokiem wbitym w talerz, odpowiadał zdawkowo nie interesując się zbyt rozmową jaką toczyli znany mi również Franciszek z dwoma współtowarzyszami. Z obserwacji wyrwał mnie Jerzy.

- I co sądzisz o tym miejscu? - zagadnął przeżuając chleb.

- Nie wiem, tu tyle się dzieje - odpowiedziałem - próbuję ...

- Dzieje? Tu się dużo dzieje. Jak przez mgłę, czasami. Dzieje się dla kamery. A ja „*jestem nadzwyczaj bierny. Biorę świat taki, jakim jest. Tylko się przyglądam, obserwuję go*”⁶ - wtrącił Andy beznamiętnym głosem przyglądając się swoim dłoniom ułożonym jedna przy drugiej na blacie stołu.

- Andy jest człowiekiem branży filmowej, kręci filmy. Klaps, akcja, klaps - w dłoniach Edgara pojawiła się wyimaginowana kamera, a ten podniósłszy się z krzesła zaczął udawać, że kręci film. Jerzy uśmiechnął się dyskretnie.

- Nie, to nie tak. Nie akcja - łagodnie zareagował przedrzeźniany nie przestając obserwacji bladych dłoni - obraz ma dwa światy lub świat ma dwa obrazy. Wszystko na 16 milimetrowej taśmie. I nic więcej. Bez akcji. Tylko obserwacja. Fabryka zdarzeń.

- Fabryka? - powtórzyłem.

- „*Powiada się, że rzeczy zmieniają się z czasem. Prawda jest taka, że to my musimy je zmienić*”⁷

- Ale to chyba jakaś sprzeczność w wypowiedzi - próbowałem się połapać w słowach tego frapującego człowieka.

- Nieważne Panowie - machnął szybko ręką Jerzy rozglądając się bacznie po sali i widząc zbliżającą się groźną siostrę powiedział łagodnie acz stanowczo - Edgarze usiądź.

- No chłopcy kończcie - siostra położyła dłoń na ramieniu Andy'go. Ten się skulił w sobie, zapadł w wątpliwości swojej.

- Chodźmy - zwróciła się do niego.

W jadalni zapadła cisza. Każdy wpatrzony był w swój talerz. Nikt nie podniósł wzroku. Nawet zegar przestał liczyć się z upływem czasu trwoniąc sekundy na rozważanie swoich i nie swoich błędów, a może głównie naszych tu zaległych ciężarem w tej nagłej ciszy.

⁶ Cytat Andy Warhol

⁷ Cytat Andy Warhol

- Dokąd go zabrała? - zapytałem cicho pozostałych, gdy odeszli. Odpowiedziało mi milczenie i przeżuwanie szczęk jakby to była najważniejsza sprawa tu i teraz.

Po śniadaniu, klatką schodową o witrażach tonących w słońcu poprowadzono nas na wewnętrzny dziedziniec. Za sprawą szkieł kolorowych ciągnących się przez całą wysokość piętra, białe marmurowe schody i ściany bielone stały się areną orgii barw, toniliśmy w tym morzu kolorów, zmieniając się w kameleony ewolucji, przedziwne stwory w orszaku szalonym. Twarze przestały mieć imiona, imiona posiadać twarze. Czas zwolnił, rozciągnął się. Czyjeś silne ręce chwyciły mnie. Do tańca, do tańca, walca, krokiem posuwistym, krokiem wydłużonym na dwa, skróconym na trzy, z obrotem na cztery. W uniesieniu prowadź mnie w ten taniec chocholi. W uniesieniu unieś mnie. Pan z panem bez opamiętania. Wiruj, wiruj mój panie i raz i dwa, trzy i cztery. Muzyka w świetle zapulsowała głosem drżącym, głosem tu nagle kobiecym, w barwnych plamach na ścianach.

Caring is a bury gin shot
The devil might steady
Up 'till the wee wanes
Oh, we laugh in their faces
The devil might steady
We wax and wane⁸

Nic nie rozumiałem, choć czułem to coś, przenikanie. Ręka w rękę do przodu po schodach. Za tego zjawiska sprawą nasza grupa dostąpiła wniebowstąpienia w chwale, wychodząc na zalany światłem jasnym plac wewnątrz murów nas otaczających. Stałem zdyszany w pełni blasku, chwiejąc się jeszcze na nogach, osłoniwszy dłonią oczy czekałem aż krawędzie się zaznaczą, a barwy określą na nowo. Biały żwir pod butami stał się ścieżką wijącą się wśród zieleni soczystej trawnika. Po bokach ścieżki ławki mosiężne w ornamentyce roślinnej powyginanej ręką nieznanego kowala losu, mieniły się czernią głęboką. Wśród traw tu i ówdzie klomby konwalii rozsiane nadawały temu miejscu zapach słodczy. Na środku polany altana kamienna w porządku korynckim, gdzie główice ciemnozielonymi liśćmi bluszczu owiane, który skrywał dokładnie poszczególne detale. W altanie stół marmurowy na nim staroświecki czarny patefon z wielką czerwoną tubą. Z niego to sączyły się spokojne dźwięki skrzypiec, wiolonczeli, muzyka nieznaną mi, otaczając swym kunsztem zastygłe w marmurze klasycystyczne rzeźby kobiet i mężczyzn rozsiane tu i ówdzie po ogrodzie. Dziedziniec wydał mi się przeogromny i pełen zachwytu. I jeszcze jedna rzecz, podniósłszy na

⁸ Cocteau Twins – „Wax and wane”

moment oczy za ptakiem, czy też może papugą barwną, dostrzegłem, iż nad całym ogrodem niczym olbrzymie skrzydło ważki zastygłej w locie rozciągnięta jest konstrukcja dachu szklanego, przez który z jakże mocną intensywnością sączyły się promienie południowego słońca. Dach wsparty na potężnych stalowych kolumnach ciężkimi nitami wiązany sięgał krańca wysokiego parteru tworząc z siebie i otaczających murów szklarniowy ogród.

*ususzone kwiaty
ramą okna
dla minionych pragnień,
choć rozchylone usta
wciąż pachną rebelią lata*

Zachwiałem się nie wiadomo skąd tą myślą, czy to od słońca, czy jego niebytu, co we mnie zakwitnął. Ciemno przed oczyma. A dusza, czy serce, czy ten skrawek umysłu co doktorzy jeszcze nie znają, przeniosło mnie w wąwóz kamienic, brudnym śniegiem wszystko ścięte, chmury ołowiem fabryk i słowa te malujące się w kałuży skuwającej się lodem. I palta mnie mijające i czarne wołgi mnie mijające i szkapy ciągnące węglowe furmanki mnie mijające, a wszystko w kałuży i słowa w kałuży i ja palcami zgrabiałymi w tej wodzie kręgi malujący jakbym szukał znaczenia, jakbym szukał lata, jakbym drogę powrotu chciał odnaleźć.

Ktoś mnie przytrzymał, upaść nie pozwolił. Towarzysze moi rozeszli się, zajęli miejsca na okolicznych ławkach, ktoś rozłożył wyciągnięty skądś drewniany plażowy leżak, inny przemierzał żwirowe ścieżki ze wzrokiem wpatrzonym w kamyki. Dostrzegłem jak Franciszek z nieznanym mi mężczyzną grają w badminton, paru przypatrywało się im z zainteresowaniem. Przyjemne ciepło, sielankowy nastrój tego miejsca udzieliły się mojemu chyba w nie najlepszym stanie umysłowi. Uspokoily to ściśnięcie krtani, jeszcze co było przed chwilą, choć obrazu, słów nie wymazały. Rozleniwiony nastrojem, przepelniony już po paru chwilach jakimś nieznanym mi do tej pory szczęściem usiadłem na skraju ławki, która stała w lekkim cieniu rzucanym przez rozłożyste gałęzie czereśni. Pszczoły brzęczały gdzieś w niskich konarach, białe kwiaty przyszłych owoców, znów przeleciał kolorowy ptak, zamknąłem oczy.

Byłem tu zaledwie trochę ponad dzień, a intensywność zjawisk, wrażeń... Tak, przerastało to moje możliwości pojęcia. Nie wiedziałem czy to co się stało, to co się działo, działo się rzeczywiście czy tylko w mojej głowie. Z kim porozmawiać? Czy to możliwe, iż przekraczając wczoraj próg tego gmachu straciłem nagle rozum, a może to jednak się działo, tu i teraz, i ciągle się dzieje, bo takie po prostu tu jest życie, ale jakie? Czy to się dzieje z innymi?

Czy inni mają takie odczucia? Choćby ta klatka schodowa, z krętymi schodami i witrażem, czy tam faktycznie my wszyscy ulegliśmy chwili i taniec, ten dziwny walc porwał pary na figury zamknięte w czasie, tak przedziwne, wirujące w kolorach szkiełek, gdzie męskie dłonie silnie objęły mnie. No nie, nie możliwe, zwidy jakieś, ale z drugiej strony, jeżeli tylko zwidy, to czy tylko moje, czy tylko ja tak dokładnie to w pamięci widzę? Albo seans hipnotyczny Profesora Fethera, który zdaje się był wczoraj wieczorem, gdzieś w podziemiach mnie dopadł. Czy naprawdę? A to co się wydarzyło w tym pokoju schowanym gdzieś za małymi drzwiami na końcu świetlicy, co ja takiego widziałem? I jeszcze te słowa co teraz, ostatnio:

*choć rozchylone usta
wciąż pachną rebelią lata*

Z kim rozmawiać? Jak wyjaśnić skoro nie wiem, czy podmiotem, czy przedmiotem jestem? Kto pisze te słowa, jeżeli nie ja?

- Nie spij, bo ci dziecko podrzuca – poczułem jak ktoś mnie szarpie delikatnie za ramię, otworzyłem oczy. Słońce przesunęło się nad naszą część gmachu, wydłużając nieznacznie cienie ospałe.

- Zasnąłem? Długo spałem? – już przebudzony zapytałem Jerzego, który przysiadł się do mnie, zwalając swe ciało ciężko

- Nie wiem, nie mamy tu zegarków. Ale myślę, że może z godzinę, a może dłużej, zresztą jakie to ma znaczenie...

- A ten zegar w korytarzu? – przypomniał mi się ten bez wskazówek obok łazienki.

- A ten, kto wie co on wskazuje.

Muzyka nadal się sączyła, może ciągle ta sama, odgrywana tu od zawsze. A może już inna, zmieniona ręką niewidzialnego dyrygenta. Ktoś siedzący okrakiem na wielkiej pomarańczowej piłce przeskoczył przed nami w poprzek ścieżki. Gdzieś za konwalii klombem porośłych śmiano się, uwidaczniając w mojej wyobraźni długie języki i obnażone zęby. Dwie siostry stały w podcieniach przy klatce z witrażem chłodząc się olbrzymimi wachlarzami, skrzydła ważek pomyślałem. Albo wyglądały jak pingwiny w ogrodzie Semiramidy. Powiedziałem o tym Jerzemu.

- Nie takie cuda tu jeszcze zobaczysz – odpowiedział tajemniczo i puścił do mnie oko.

- No właśnie, powiedz mi, czy gdy schodziliśmy do ogrodu, coś się wydarzyło, coś dziwnego?

- A powinno coś się wydarzyć?

- Bo... miałem takie przedziwne wrażenie ...

- Chodź, przejdźmy się – przerwał mi w połowie zdania.

Szliśmy ścieżką wzdłuż ściany, minęliśmy południowy kraniec budynku, tu powietrze pozbawione widocznie ochrony szklanego dachu drgało zawieszanie. Przed nami od wschodu do zachodu rozciągał się stary ceglany mur na trzy metry wysoki, porośnięty ciemnozielonym bluszczem. Podeszliśmy bliżej.

- Czy tam jest prawdziwy świat? - Jerzy wyciągnął rękę wskazując nieokreśloność za murem.

- No. Tak - powiedziałem nie wiedząc do czego zmierza.

- Pewny jesteś?

- No - tak jakoś bez pewności.

- A po czym to poznajesz?

Ze świata po drugiej stronie dochodził szum miasta stanowiąc tło dla pojedynczych dźwięków - zgrzytu tramwajowych kół, śmiechu dzieci gdzieś tuż za ceglany murem, silników diesla przejeżdżających aut turkoczających na kocich łbach starych ulic.

- Czy gdybyś nie miał doświadczeń z tamtej strony, nie miał wiedzy, nie miał wyobrażenia jak tam jest, byłbyś na sto procent pewien, że to realny świat? Na czym oparłbyś swoją pewność? - kontynuował.

Zamilkłem szukając w głowie odpowiedzi.

- Chodźmy dalej - Jerzy poprowadził teraz wzdłuż muru.

Ścieżka tu była tak wąska, że musieliśmy iść jeden za drugim.

Niedługo dalej mój rozmówca zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadłem na niego. Ścieżka skręcała ostro w prawo.

- Wyciągnij rękę przed siebie - odsunął się, a ja niepewnie spełniłem prośbę dotykając chłodnej, wręcz zimnej tafli szkła.

- Co to?

- Przybliź się i spójrz, o tak lekko pod kątem. Co widzisz?

- Teraz widzę ścieżkę, dwie ścieżki, jedna odbita. Drzewo, które minęliśmy przed chwilą.

- A teraz się odsuń. Co widzisz?

- Widzę jak droga, którą szliśmy biegnie dalej.

Przybliżyłem się znowu.

- Ale jeżeli to lustro, przedziwne lustro, to gdzie jest nasze odbicie?

- No właśnie, gdzie? Co jest realne? Co się dzieje naprawdę? - pytaniem na pytanie odpowiedział mój przewodnik.

Ruszył dalej wzdłuż ściany, lustra, rzeczywistości nie rzeczywistej. W miarę zbliżania się do budynku usłyszałem, nie mogłem się przecież mylić, kobiece głosy, śmiech jakby po drugiej stronie muru ze szkła. Przystanąłem. Mur był na tyle wysoki, że nie sposób było poprzez niego cokolwiek dostrzec. Odbijał się w nim ogród, dziedziniec wewnętrzny, lecz nie my. Nagle ponad nim przeleciała wielka czerwona piłka, niczym balon wzniosła się wysoko by

majestatycznie opaść. Głosy zza muru momentalnie ustały. Piłka, kometa ta ognista, choć powolna, gdyż obserwowana z perspektywy milionów kilometrów nierealności opadła łagodnie na trawy soczyście zielonej kobierzec wzbijając do lotu motylą armadę statków podniebnych. Jerzy mimo swej pozornej ociężałości podskoczył jakby grawitacja nie chwytala go swym zasięgiem i już był przy piłce, przyłożył się, kopnął i torem powrotnym kometa ta na drugą stronę poszybowała. Odgłosy powróciły, śmiech powrócił jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Co jest realne? - stojąc na powrót przede mną z lekko przekrzywioną głową Jerzy patrzył tymi swoimi ogromnymi brązowymi oczami, pełne usta ułożyły się czy to w drwiny smak, czy w ciekawość badacza psychologii zachowań w sytuacjach skrajnych.

- Nie wiem - czułem, że zamiast cokolwiek wyjaśniać brnąłem w coraz większy chaos myśli i odczuć.

- No i pięknie - uśmiechnął się zagadkowo, poprawił okulary i dodał - jesteś więc na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

- Ale ja nie jestem chory - zaprotestowałem.

- Więc co tu robisz?

Już chciałem wyjaśnić, opowiedzieć, wbrew zakazowi doktora Tarr, ale czyż to co mnie doprowadziło do tego miejsca nie było równie niedorzeczne jak wszystko tu wewnątrz? To co mnie tu pchnęło, ten pośpiech jakiś obłądny, nakaz jakiś wewnętrzny, co by portret pośmiertny ojca w depozyt zastawić i tak posiąść potrzebne ruble i kopiejki złociste. Pójść za pragnieniem, marzeniem, zmiany, zaznaczenia siebie na firmamencie nieba, zaznaczenia siebie, że w ogóle się żyje. Że ja tu przecież nie chory, a jedynie obserwator, turysta co z okien kolei transsyberyjskiej miał oglądać zagubione stacje i miasta.

Jerzy gdzieś odszedł, usiadłem na ławce pobliskiej. Było ciepło, ale o dziwo pod tym dachem szklanym nie upalnie. Z tuby starodawnego gramofonu rozbrzmiewało "la petite ville de la mar", jakby ktoś grał na smutku rozstrojonego fortepianu, do tego delikatnie potrącając struny rozmarzonej gitary. Dalekie od oryginalnej wersji, ale tu i teraz najpiękniejsze. Siedziałem tak w promieniach słońca, z dala od miasta, pracy, taki spokój. Błogo, niezwykle. Myśli się rozpierzchły. Nie czułem, że to miejsce jest dziwne i raczej powinienem się go bać, wprost przeciwnie. A raczej świat pozostawiony na zewnątrz napawał mnie coraz dziwniej i mocniej kłusającym lękiem, który usunąłem czym prędzej z ogrodu pełnego zapachu białych konwalii. "La petite ville de la mar" przeszło płynnie w "le single bleu", a ja z zamkniętymi oczami i otwartym sercem siedziałem na białej ławce. Nie trzeba było już nic więcej.

w ogrodzie dalekim

*ruchem jedynym
skrzydeł motyli
sprawiasz że znów
maluję ściany błękitnym niebem
i w słońcu drzwi otwieram na oścież*

Przepełnęło łagodnie przeze mnie.

Przy obiedzie siedzieliśmy w tym samym składzie co na śniadaniu. Andy tak bezceremonialnie wyprowadzony i nieobecny w ogrodzie, czekał na nas już przy stole. Nikt nie pytał, nikt nie odpowiadał. Jedliśmy w milczeniu ciężko zawisłym nad nami. Atmosfera tak cudowna na dworze gdzieś uleciała.

Jak ptaki włożone na powrót do klatki. Jak promienie słońca zatrzymane w cieniu.

Zgodnie z poleceniem siostry groźnej na czas ciszy poobiedniej, tak jak wszyscy, przebrałem się w ciemno zielonkawą pidżamę. Pomny nakazu leżenia, schowałem zeszyt niezapisany pod poduszkę. Gdy tylko siostra wyszła, zacząłem pisać. To wszystko co tu się dzieje musi być opisane. Nie szkodzi, że nie rozumiem, ale najważniejsza jest relacja, sprawozdanie, dziennik obserwacji. Pisałem bez przerwy - dwadzieścia cztery strony, aż ołówek się stępił. Pisałem, aż cienie zmieniły swe niepewne położenie na ścianach, przedmiotach, choć przecież słońce ..., nie, nie wiem, straciłem rachubę wędrówki tego odyńca złocistego po nieba bezkresach. Wspiąłem się po poduszcze, poręczy łóżka, by więcej widzieć przez okno. Może jednak ze słońcem wszystko jest w porządku, jego blask w moim pokoju powodowany był tą dziwną przypadłością architektury dachu rozciągniętego nad ogrodem i niebawą przezroczyością murów, gdyż to tak chyba należało nazwać. Przezroczyość murów – cedziłem te słowa przez zęby, badając ich smak. Skoro słońce na zachodzie, odgradzone już prawie budynkiem tym zwalistym od dachu, który przecież musiał być zasłonięty przynajmniej w znacznej części cieniem murów ceglanych, powodowało taki niczym nieposkromiony blask w moim pokoju. Dla pewności przesunąłem dłonią po ścianie, biało wymalowanej tam, gdzie cienie tam powstały chłód realny istniał tam, gdzie promienie słońca padały, ciepło promieniście się rozkładało w pajęczynie zamysłów. Nie analizuj, powtarzałem sobie bądź obserwatorem, zapisz w zeszycie, gdy stąd za tydzień wyjdiesz będziesz miał przedni materiał do swej powieści. Zamyśliłem się przez moment, bo przecież jak wyjdę, jak napiszę, opublikuję, wreszcie zaistnieje. Porzucę pracę urzędniczą, wolnym się stanę. Ale jak tu nie analizować, jak wyłączyć umysł z tej łamigłówki zdarzeń nieprawdopodobnych. Skoro każde tyknięcie wskazówek zegara (zegara ...,

tu nawet zegar nie ma wskazówek, a czas odmierza) mogło przynieść coś niepojętego.

Spojrzałem w dal na przeciwległy budynek, w okna rozświetlone blaskiem. Tam zapewne znajdował się oddział kobiecy. Lecz nie wszędzie słońce rozgrzewało wnętrza pokoi. Jedno, dwa okna, nie, trzy okna jakby jakąś kopułą, stożkiem, czy wierzłą niewielką znajdującą się gdzieś nad moim pokojem, osłonięte od promieni złocistych, tkwiło w chłodzie cienia posuwistym. Czy mi się zdawać mogło, czy dostrzegłem w cieniu tym zarys głowy, ramion, włosów zwiewnych? Podciągnąłem się na parapet wysoki, aby choć na moment, tak zawisnąwszy, przypatrzeć się dokładniej. Patrząc wpierw przez jasność i dalej w cień okna, dostrzegłem niepewnie, dwie dłonie zaciśnięte na prętach kraty, jaka oddzielała światy. Wszechświaty te magiczne. Czy to możliwe, przecież jeżeli architektura pokoju byłaby taka sama jak mojego, to pomiędzy tymi dłońmi, a kratami, szyby gładkość powinna jeszcze stać na straży. Ręce nadwyrężone wysiłkiem nie wytrzymały i padłem na łóżko czyniąc mały rwetes w ciszy jeszcze odpoczywającego po obiedzie piętra. W drzwiach zaraz pojawiła się głowa siostry, spojrzeniem spod ciężkich brwi karcąc mnie dobitnie. Widząc, że ległem czym prędzej na łóżku, nic nie rzekła. Zostałem sam. Kim była ta dziewczyna, kobieta po drugiej stronie? Jak to możliwe, że szyba nie powstrzymała dłoni w drodze do krat? Może to tylko złudzenie? Majak mój senny, lecz przecież nie spałem. Widziałem, to mignięcie chwilowe. Ale ... ale Jerzy, wciąż pytał, co jest naprawdę złudzeniem, a co rzeczywistością.

Z korytarza, innych pokoi, tak jak wczoraj, czy też kiedyś, gdzieś, zaczęły dochodzić odgłosy przebudzającego się życia. Pomny zniknięcia zapisanych kartek w zeszycie, tym razem postanowiłem go schować. Tylko gdzie? Rozglądałem się po pokoju. Niewiele tu było miejsc godnych mojej tajemnicy. Pod materacem, to zbyt oczywiste. Zajrzałem pod łóżko. Mrok pod nim zaległy oplótl w swym władaniu z dawna nie sprzątany kurz, ukazując powierzchowną naturę ładu. Ale to było mało istotne. Uwagę moją przykuł napis, chyba napis, w samym rogu na ścianie. Z tej perspektywy trudno było dojrzeć znaczenia znaków, może liter. Wstałem, spróbowałem przesunąć łóżko, lecz wydało się jakby zespolone z podłogą, choć żadnych mocowań, śrub, nie widziałem. Może wtopione nogami w podłogę, jakby płynną, przez moment chyba mi się zdało. Strząsnąłem z siebie to wrażenie, wczółgałem się przeto głębiej w ten świat zaległego kurzu, lecz ciemność w tym miejscu nie pozwalała dostrzec. Zdany na dotyk, wyciągnąłem rękę, starając się opuszkami palców odgadnąć, gdyż napis był zdecydowanie wryty w murze. Czując z początku myślałem, że jest dość krótki, jedno, może dwa zdania, góra trzy ciągi znaków. Lecz dotykając go odkryłem, iż jest znacznie dłuższy. Schodząc palcami już na sam kraniec ściany tu, gdzie ściana winna łączyć się

z podłogą, znaki schodziły głębiej, pod podłogę, w podłogę. Choć jednocześnie przecież czułem jej twardość, leżąc na niej i wodząc ręką w pobliżu ściany. Wodziłem palcami, ogarnięty jakąś tajemną gorączką odkrywcy, archeologa badającego ślady pradawnej cywilizacji, Atlantydy zatopionej, na moment, na tuż przed. Pojąłem już dotykiem pierwsze litery, słowo

Tryptyk

i dalej, słowo za słowem, w zdanie ułożone

Tryptyk okien sączy szarość

Musiałem się jeszcze podciągnąć, wciągnąć głębiej, gdyż kolejne znaki na skraju ściany i podłogi wydrapywane być musiały. Powietrza mało i duszno się robiło. Czułem jak krople potu spływają mi po twarzy. Wyciągnięte w przód ręce, rozczapierzone palce, twardość podłogi wbijająca się w żebra, czułem jak mój kręgosłup nie przywykły do takich gimnastyk daje znać o sobie.

Wziąwszy haust powietrza, na tyle na ile pozwalała mi przestrzeń mi dana, jeszcze raz spróbowałem wejść w ten tekst przedziwny, poniżej zaległy wers.

w bezdusznosc

Domyśliłem się znaków znaczenia i dalej sylabizując wyschniętymi ustami:

mrocznych ścian

w bezdusznosc mrocznych ścian

Całość z ciemności:

tryptyk okien sączy szarość

w bezdusznosc mrocznych ścian

Kiedy pojąłem pierwsze dwa wersy, wyczułem już kolejny, jakby spod podłogi wciskający się w opuszki moich palców...

- A co to chłopcze, nie słyszałeś dzwonka kończącego ciszę poobiednią. Wyłaż mi spod łóżka natychmiast!!!

Podskoczyło mi serce, ścisnęło w gardle, wygramoliłem się prędko i stanąłem cały w kurzu i pajęczynach przed siostrą groźną jak jakiś uczeń przyłapany na zakazanych przyjemnościach. Oczy jej związane ściągniętymi brwiami

rzucały we mnie gromy niebios gniewnych. Chwilę, dłuższą, milcząco rozciągniętą, mierzyła mnie wzrokiem.

- Kara, tu musi być kara - syknęła wychodząc z pokoju.

Wyrzależem za nią. Na korytarzu, z szuflady biurka siostra strażniczka wyciągnęła czarny telefon, tarcza cyfr cztery razy się zakręciła. Z kimś głośno rozmawiała w języku mi nie znanym, gestykulując wymownie. Stałem tak w drzwiach wciąż w kurzu, spodziewając się najgorszego. Z pozostałych pokoi powychodzili pozostali przypatrując się scenie z ciekawością i niepokojem, może strachem wieśniaków widzących po raz pierwszy lokomotywę Stephensonów sunącą z łoskotem przez ich pole złocistych kłosów. Podszedł, skradając się pod ścianą Franciszek. Patrzył na mnie przez chwilę, roztargnionym wzrokiem, nie patrząc wprost, tylko jakby wszędzie i nigdzie.

- Czego? - zapytałem. Nie, nie zapytałem, warknąłem.

- Czy ściana przemówiła? - wyszeptał.

- Co? - zdało mi się, że nie dosłyszałem.

- Ty, chłopcze, pójdiesz ze mną - pomiędzy nami jak z pod ziemi wyrosła siostra groźna, ścisnęła me ramię silnie i jak uczniaka pchnęła przed sobą.

Drzwiami z oddziału, klatką, schodami krętymi, przecież tą którą jeszcze rano schodziliśmy do ogrodu. Tym razem ściany były ścianami, schody schodami, a witraże w oknach witrażami w oknach. Skręciliśmy w prawo w korytarz zdawało mi się którym szedłem pierwszego dnia. Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami wysokimi, podwójnymi. Na przeciwko drzwi dwa krzeselka drewniane. Siostra gestem wskazała mi jedno z nich, na drugim usiadła sama. Zegar nad drzwiami tykał, odmierzając nieistniejący czas, gdyż zegar również był pozbawiony wskazówek. Moje krzeselko skrzypiało przy każdym najmniejszym ruchu, więc powodowany przeczuciem nieestosowności każdego odgłosu i strachu wdzierającego się w ciszę starałem się nawet nie oddychać. Nie wiem jak długo to trwało. Taki czas zawieszenia, czekania na przerzucenie kolejnej strony dziennika obserwacji przez nieznanego czytelnika. A może ... przez nikogo? Próbowałem sobie poukładać to co widziałem, a raczej odczułem na ścianie w pokoju i w to jeszcze zawrzeć dziwne pytanie Franciszka. W końcu drzwi otworzyły się. Z wewnątrz wyszedł najpierw jeden pielęgniarz ciągnąc za sobą opierającą się kobietę, za nią szedł drugi. Ona spojrzała na mnie poprzez kosmyki ciemnych włosów opadające w nieładzie na jej bladą twarz. Smutny, otępiały wzrok omiółł mnie tym jednym spojrzeniem i zanurzył się w pustkę znaną tylko sobie. Przechodząc obok w białej bluzce z odkrytymi ramionami, pogniecionej spódnicy do kostek, ledwo usłyszałem, jak mówi.

- Jestem Sylvia. Jestem Sylvia. Piszę wiersz. Jestem Ariel.

Odprowadziłem ją wzrokiem przez całą długość korytarza, aż zniknęła za drzwiami prowadzącymi zapewne na oddział kobiecej. Podtrzymywana przez dwóch sanitariuszy.

Po paru chwilach drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich doktor Tarr.

- Witam, witam ponownie - wyciągnął do mnie rękę, jakbyśmy co najmniej byli dobrymi przyjaciółmi, którzy przez przypadek spotykają się na ulicy. Spojrzałem niepewnie na siostrę groźną. Ta siedziała ze ściągniętymi brwiami, kamienną twarzą, wpatrzona w jakiś punkt na ścianie. Wyciągnąłem swoją dłoń, doktor uściśnął mocno.

- Zapraszam do środka - gestem wskazał wewnątrz gabinetu.

Był to ten sam gabinet, w którym przyjął mnie pierwszego dnia. Usiadłem w głębokim fotelu naprzeciw biurka.

- Herbaty? - nie czekając na odpowiedź podszedł do złocistego samowaru stojącego pod ścianą. Parująca ciecz wlała się do białej porcelanowej filiżanki.

- Cukru?

- Tak, poproszę - wymamrotałem, choć nadal ubrany był w ten sam za duży czarny garnitur, jego zachowanie wydało mi się znacznie żywsze i przyjaźniejsze niż przy wcześniejszym spotkaniu.

Doktor Tarr był odwrócony do mnie plecami, więc miałem chwilę na ogarnięcie pokoju, na biurku piętrzyły się stosy papierów. Wyczułem rękę, między oparciem, a poduchą siedzenia jakąś zmiętą kartkę. Spojrzałem ukradkiem na doktora, widząc, że nadal zajęty, rozwinąłem kartkę, na której chwiejnym charakterem ktoś napisał:

*“ A ja
jestem strzałą
rosną w samobójczym locie,
we wspólnym pędzie
do czerwonego oka,
kotła poranku”⁹*

Doktor Tarr stanął obok z dwiema filiżankami herbaty. Popatrzył na moje znalezisko. Odstawił herbatę.

- Znalazłem na fotelu - Bez słowa oddałem mu kartę.

- A tu schowała - przeczytał - tak ... Sylvia, próbujemy jej pomoc popełnić... Znacząco bardzo skomplikowany przypadek. Bardzo.

- To ta kobieta, która wyszła, gdy oczekiwałem pod drzwiami?

- Tak ... - Doktor jakby się zamyślił, przeszedł do biurka, usiadł, popatrzył na mnie ważąc słowa - a nie rozpoznał Pan jej, nie pamięta?

⁹ Sylvia Plath – „Ariel”

- Ja? ... Chyba nie ..., a skąd miałbym ją znać?

- A nic, nieważne - machnął ręką. - A co u Pana, jak Pana obserwacje? No właśnie.

Z szuflady wyciągnął zeszyt, mój zeszyt!

- Czytałem, czytałem, nie powiem - pokiwał głową wpatrując się we mnie swoimi wąskimi oczami.

- Ale skąd u Pana Doktora, kiedy ...?

- Czytając Pański tekst mam nieodparte wrażenie, że chyba poniosła Pana wyobraźnia - wycedził przez zżółknięte zęby i kontynuował dalej, jakby nie było mojego pytania. - Czy jest Pan pewien tych wszystkich zaobserwowanych zdarzeń, czyż możliwe, aby takie rzeczy działały się w naszym zakładzie?

- Nie - przyznałem - nie jestem pewien. Nawet sam mam wątpliwości, czy byłem tego świadkiem

- No właśnie. A co Pan robił dziś pod łóżkiem?

- Ja ... wydaje mi się, że tam na ścianie był napis.

- Napis pod łóżkiem? Co Pan nie powie?

Nie wiedziałem czy ze mnie drwi, czy jakąś grę dziwaczną prowadzi.

- No taki wiersz i jak go dotykałem ukazywało się go coraz więcej, jakby z pod podłogi - brnąłem coraz bardziej czując, jak robię z siebie idiotę. Idiotę – dobre.

- A może ma Pan racje?

Nie wiedziałem, czy pyta na serio, czy żartuje.

- A może to wszystko wydarza się naprawdę? - wpatrywał się we mnie z lekko przechyloną głową i uśmieszkiem (chyba uśmieszkiem) na wąskich wargach.

- Ja, ... To znaczy Jerzy mówił ..., tam w ogrodzie tam, gdzie ścieżka, ściana, tafla szklana, gdy piłka jak kometa, czerwona - próbowałem wybrnąć, znaleźć sojusznika dla swego rozumowania, które przecież sam czułem, że jest nierealne jak biały śnieg w tym mieście.

- Drogi przyjacielu - Doktor Tarr wstał, obszedł powoli biurko, stanął przede mną bujając się z palców na pięty i z powrotem. Wreszcie położył swe kościste ręce na moich ramionach. Poczułem ich ciężar. Spojrzał na mnie, a w jego ciemnych oczu chłód jakiś na mnie sparalizowanego popłynął. Powietrze w krtani mi zawisło. A on powiedział bardzo cicho i słodko - pozwól nam sobie pomóc.